

MICHAŁ MORPHY.

# KRWAWE MILIONY.

Tłum. z francuskiego MARYA SEGENY.

36

— To już koniec wszystkiego, kochanko. — wyszeptał drżąc z przerażenia. — Musimy uciekać. Ty przynajmniej, póki czas jeszcze. Jutro tu zarządzą śledztwo... Przyjdzie policja... Nałożą pieczęcie... Biegnij natychmiast do kasy ogniotrwałej i przynieś mi wszystko, co w niej znajdziesz...

— I co dalej, ojciec? — zapytała oszołomiona Sydonia.

— Ty uciekniesz do Niemiec z papierami wartościowymi i spalisz resztę... dowody... Tam są niebezpieczne rzeczy... rozumiesz... nie trzeba pozwolić, aby je kto odkrył...

— Co tam masz, ojciec?

— Nie pora teraz mówić, spiesz się...

— Ale ty, ojciec! Co się z tobą stanie? — zawołała Sydonia wstrząśnięta tym rozkazem.

— Ja? Drwię sobie z tego wszystkiego.

Bankierówna spojrzała z podziwem na ojca. Nie sądziła, aby był w stanie tak heroicznie zachować się wobec tak strasznej katastrofy.

— To nie może być! Musimy pomyśleć o tobie. — odparła stanowczo.

— Nie trzeba... uciekać... bo będzie późno.

Ale Sydonia już kierowała dawna odwaga i zachwałność, z zimną krwią rozważała chwilę.

— Nie odjadę bez ciebie, ojciec — wyrzekła spokojnie po jakimś czasie — Posłuchaj mnie tylko. Niebezpieczeństwo jest jeszcze groźniejsze, niż przypuszczałeś. Nie wiedziałam o rozpaczliwym stanie naszego banku, szczególnie nie mogłam się domyślać, że jest tak źle, po niedawnej wypłacie Kermorów...

— Ale kopalnie złota! zapominasz o tym! To, to mnie zabiła.

— Tak rzeczywiście, straciliśmy wszystko bez ratunku. Mnie również nie powiodło się z Allanem le Brenn. Ale co jest najważniejsze i najniebezpieczniejsze, że ten okropny człowiek mnie poznał!

— Co mówisz, Sydonio?

— Allan mnie poznał!

— Allan cię poznał! — powtórzył, drżąc bankier. — Tak, to jest straszne! Już teraz nic, nic nas nie wyratuje!

— Co on ma przeciwko tobie, mów, ojciec! Co ci może uczynić? — pytała Sydonia gorączkowo.

— Co on mi może uczynić? — odparł bankier, cofając się, jak przed widmem. — Ależ wszystko, rozumiesz! Może mnie na wieki przykuć do taczek galerniczych... może... Ach! co mówię zresztą! Jeżeli on działać zacznie, mam tylko jedno wyjście... rewolwer...

Blady, wyczerpany opadł na poduszki i ręką sięgnął, jak gdyby szukał czegoś obok siebie. Zrozumiała ten ruch Sydonia, zrozumiała, że ojciec radził jej ucieczkę, żądał, żeby zabrała kasę, bo chciał pozostać sam, aby spokojnie zakończyć raz burzliwe swoje życie. Nie! do tego dopuścić przecież nie może! Tej ofiary, ostatniej od ojca przyjąć nie może!... Podeszła bliżej i spojrzała mu prosto w oczy.

— Ojciec! — rzekła stanowczym głosem — za godzinę wyjeżdżamy razem...

— To niemożliwe...

— To jest jeszcze możliwe! — wymówiła z naciskiem. — To jedno, niestety.

— Ale gdzie? jak?

— Gdzie? Pomyślałam już o tem... Przejedziemy w nocy przez granicę belgijską...

— Depesze pobiegną za nami na wszystkie strony.

— W każdym razie nie dziś jeszcze... Pojeździemy automobilem naszym, nad rankiem będziemy na granicy belgijskiej — to najbliżej... Ja maszynę sama poprowadzę — bądź spokojny!

— Allan może odnaleźć mnie wszędzie, moje dziecko — jęknął bezradnie de Bressien. — Ty musisz wszystko wiedzieć... To nie jest zwyczajne bankructwo, niewypłacalność... to jest coś gorszego... nadużycie zaufania... kradzież...

— Aż tak!

— Niestety.

— Nie mogłeś się zabezpieczyć? Odwrócić podejrzania od siebie?

— Nie mogłem!

— To nie! Ukryjemy się tak, że nikt nas nie wysledzi... Można łatwo zmienić twarz... powierz-

chowość... Wczoraj przecież podobna byłam do mulatki.

— I poznano cię!

— Wiesz, w jakich okolicznościach musiałem opuścić przylądek Dobrej Nadziei — mówić zaczął dalej de Bressien złamanym, przygaszonym głosem. — Byłaś wówczas jeszcze bardzo mała. Dobiliśmy do Alaski, gdzie, jak mi się zdawało, mogłem stanąć na pewnych nogach. Założyłem tam wyszynk dla górników, ale wkrótce pomyślałem, że lepiej stać się ich bankierem i depozytorem. Podjąłem się ich spraw pieniężnych, przechowywałem złoto, które następnie na swój koszt wysyłałem do stołecznego miasta, gwarantując im bezpieczeństwo złożonych u mnie depozytów. Bo i tam, jak i tutaj do ostatniej chwili posiadałem ich zupełne zaufanie... A kiedy opuścili kopalnię, o ile nie przetrwonili wszystkiego na miejscu, mogli podjąć swoją własność w Montreal lub Quebecu, jeżeli chodziło o poważniejsze sumy...

— Czy tam poznałeś Allana?

— Tak. Był górnikiem, jak inni i naszym klientem. Przypominał sobie, polubił cię bardzo i nawet chciał cię wyposażyć. To był najlepiej zarabiający robotnik, ale też i najostrożniejszy i niedowierzający. Lękał się zawsze, że zostanie okradzionym lub zamordowanym, bo zdarzało się to u nas niekiedy — i wszystko, co posiadał, deporował jawnie u mnie. Ja zaś byłem strzeżony jak władca. Zawsze był przy mnie dozór i pomoc, czuwająca nad wspólnym tym majątkiem. Podróżowałem często, zmuszony jeździć w interesach górników do miast różnych. I dnia jednego nie powróciłem więcej do kopalni — rozumiesz mnie?

— I co dalej ojciec?

Bankier de Bressien odetchnął głęboko i westchnął:

— To było za piękne, aby się udać mogło... Miałem przy sobie papiery tamtego... wiesz... barona de Bressien. Długa, farbowana broda zmieniła mnie do niepoznania. Powróciłem tutaj i za te pieniądze ich, które byliby na pewno tam przepili i stracili — założyłem ten bank... I nie słyszałem nic o tamtych, ani o niczem... raz tylko... kiedy ten powrócił... ale on musiał umrzeć... dla mojego i twojego spokoju. Bank był na dobrej drodze... klientela wysoka wyrobiona... I oto teraz ten Allan zjawia się jak duch zniszczenia i to w chwili, kiedy kopalnie tracą na wartości... z rąk mi się wysuwają...

— Ojciec! — zawołała Sydonia, która bez drgnienia wysłuchiwała spowiedzi tej smutnej. — Nie myśl teraz o przeszłości. Ten Allan mógł mnie uprzedzić i przybyć przedemną do Paryża. On już tak raz zrobił... tam w Bretanii. Opowiem ci to w drodze... Musimy uciekać...

— Tak... weź te klucze i spiesz się... Przynieś wszystko, a ja rozpatrzę, co jest do zniszczenia. Każ przygotować automobil... powiedz, że jedziemy do Bois le Roi... i przyslij mi tu kogo do pomocy. Muszę się ubierać...

Sydonia wybiegła pospiesznie, niespokojna i drżąca, jakgdyby już nienawistną postać Allana miała za chwilę zobaczyć.

Donośne, ostre rozkazy zostały przez nią wydane służbie. Automobil miał być gotów natychmiast do przewiezienia chorego barona do swojej posiadłości. Potem udała się do pokoju, gdzie mieściła się kasa i całą jej zawartość złożyła na łóżku ojca. Bankier, wyprostowany na poduszkach, gorączkowo przeglądał papiery, sortował i odkładał te, które miały dla niego jakąkolwiek wartość pieniężną. Sydonia stała obok niego i do obszernej skórzanej walizy rzucała te, które miały pójść na zniszczenie.

— I to jeszcze — i to! — mruczał de Bressien, odrzucając z niechęcią kompromitujące świstki. — Wszystko do ognia! Niech śladu po tem nie zostanie. Spal uważnie, pamiętaj. Szukać wszędzie będą! Rzuć do kominka, pozbędziemy się prędko tego wszystkiego!

— Ależ ojciec! — zauważyła Sydonia, widząc, że skórzana waliza wypełnia się już po brzegi. — Może to nieostrożnie palić na kominku. Pozostaną ślady... popioły... I długo tlić się może. — Nie mamy czasu. Wiesz, co zrobić? Wrzucę do wielkiego pieca, tak będzie lepiej.

— Masz słuszność! — szepnął de Bressien. — Ten piec oddał nam już raz nieocenioną przysługę — pamiętasz? Oh! gdyby można tak zrobić z Allanem! Bierz prędko! i rób jak uważasz!

Nazwisko Allana dotknęło Sydonię jak ostre uderzenie szpicruty, zasilając ją świeżym napływem energii i czynu. Ściągnęła gwałtownie z łóżka jedwabne przykrycie i związała w nie papiery, poczem skierowała się prędko ku bocznym schodom służbowym.

Z dołu dochodził już głuchy pomruk niecierpliwiejszej się maszyny, gotowej do biegu. Sydonia biegła po schodach i dosłyszała ten szmer obiecujący. Uśmiech radosnej pewności przebiegł po jej pobladłej twarzy. Za kilka godzin będzie już daleko z ojcem, za granicami kraju, który opuszczała bez żalu. Tam będą mogli rozpocząć nowe życie w spokoju i dostatku, a któż wiedzieć mógł, czy los, dotąd dosyć jej sprzyjający, nie gotował dla niej jakiejś szczęśliwej niespodzianki?

De Bressien ze swojego pokoju również dosłyszał pomruk sapiącego automobilu i wsłuchiwał się w niego z przyjemnością.

— Te motory są wspaniałym wynalazkiem — myślał z zadowoleniem. — To kolej żelazna, ale dająca więcej swobody osobistej i bezpieczeństwa. Niema konduktorów, służby, stacji co kilkanaście kilometrów, ani żadnej kontroli. To opatrność ludzi, chcących podróżować w ukryciu. Ale nagle de Bressien zadrżał silnie i twarz jego, wykrzywiona przestachem, pokryła się grubymi kroplami potu. Zaczął nadsłuchiwać, nawpół wychylony z łóżka, oczy szeroko rozwarzył, obłąkane lękiem i zgrozą. Jakiś krzyk go dobiegł... straszny... rozpaczliwy... krzyk Sydonii... poznał jej głos... jęki stłumione... odgłos zaciętej, głuchej walki...

Na chwilę wszystko przycichło, ale znowu głos zabrzmiął silniej... rozpaczliwiej... jęki biegły zduszone... zbliżały się... nawoływania... charczenie nie-ludzkie... płacz spazmatyczny i nagle drzwi gabinetu otworzyły się z trzaskiem... Oddech zamarł w piersi bankiera! Obłąkane spojrzenie wlepił przed siebie — Sydonia! Mój Boże, co to jest? Jakaś straszna, męcząca, piekielna wizja! Jakiś kłęb ognia, płomieniem i dymem ziejąca pochodnia wtargnęła do pokoju.

— Ratunku... ratunku! — ojciec!

Z okropnym jękiem agonii, potwór płomienny, ziejący syczącymi płomieniami, zwałił się ciężko u stóp łóżka!

Zerwał się bankier i pochylił nad tym drgającym konwulsyjnie, palącym się kłębem. Kiedy się podniósł, twarz jego była straszna! Z ust, pokrytych pianą, wydął się krzyk wstrząsający!

— Ratunku! Ratunku! Służba! do mnie! Moje dziecko! Moje dziecko!

Skoczył do dzwonka i wstrząsnął nim rozpaczliwie. Robi się chaos i zamieszanie w pałacu. — Po schodach dudnią przyspieszone kroki — służba wbiega i w pierwszej chwili staje osłupiała, bezradna. Ale de Bressien nieprzytomny, oszalały już chwytając za jakieś ręce, błaga, prosi, rozkazuje, zdiera bogate, ciężkie portyery i makaty i rzuca na ziemię, pokrywa pałac, bezwładne już ciała córki.

Nareszcie ktoś dogasił stłumione już płomienie, owiniętą koldrami wynosząc jęczącą cicho Sydonię.

Ale już dom cały stoi w płomieniach! Gdzie ukryć się? Gdzie uciekać? Gdzie złożyć popalone okropnie ciało nieszczęśliwej? — Ktoś ze służby przypomina sobie nagle, że przed domem stoi automobil. Na szczęście szofer został na swoim posterunku. Po chwili motor unosi Sydonię, ale już nie w podróż zamierzoną, mającą jej przynieść spokój i bezpieczeństwo, ale do najbliższego domu zdrowia!

Wyszedłszy z gabinetu ojca, Sydonia ożywiona nową nadzieją i bliskością ucieczki, zeszła ze schodów, trzymając w jednej ręce ciężką walizę, napelnioną dokumentami — w drugiej zaś zapaloną świecę. Dobiegłszy do głównego pieca, grzejącego kaloryfery, przyklekła przy nim i wrzucać pospiesznie zaczęła papiery, poczem podpaliła stos cały... Ale płomień nie obejmował go dobrze, kłęby szarego dymu powracały na zewnątrz, uderzając ją w oczy. Odkręciła jeden klucz regulujący ogień... płomień wystrzelił żywo w górę, unosząc ze sobą papiery, lecz opadły one natychmiast z powrotem, rozpraszając się pociągnięte przewiewem wokoło niej. Prędko więc zatrzasnęła silnie pierwsze drzwi pieca, lecz nie zauważyła dosyć prędko, że suknia jej pochwycona została. Próbowwała uwolnić ją, wyciągnąć, ale na próżno, płomień gorący objął ją już całą, paląc się od papierów suche kawałki drzewa, przygotowane do opału. Wówczas to, widząc całą zgrozę niebezpieczeństwa, wołać zaczęła rozpaczliwie o pomoc, siłą ostatnią wyrwała się, drzwi pieca otworzyły się szeroko, przepuszczając słup syczących płomieni i dymu. I wtedy już cała ogarnięta płomieniem, który obejmował ją, raniąc boleśnie, uciekać zaczęła przez korytarze, szerząc wokoło siebie niszczące zarzewie i nieprzytomna z bólu i trwogi, dobiegła do gabinetu ojca.

W pokoju, z którego wyniesiono Sydonię, pozostał teraz sam baron de Bressien. Ogień szerzył się coraz gwałtowniej, obejmując już wszystkie sprzęty, zagradzając wszelkie przejścia do ucieczki!